

# Kronika

## tygodniowa

Powoli prawdziwe, ale wielkimi krokami zbliża się koniec roku. Jeszcze dwa takie kroki tygodniowe, jak niniejszy, a za chwila nam Rok Nowy, o którym tyle wiadomo, że będzie zwyczajny, nie przestępny, czy jednak warunki się poprawią, to się dopiero pokaże w dalszym ciągu, właściwie zaś w zakończeniu, a tem będzie ostatnia kronika tygodniowa w roku 1921, w której Czytelnik znajdzie zestawienie dobrych i złych stron nieboszczyka. Kto zatem ciekawy, niech poczeka rok, a będzie miał wszystko czarne na białem i przekona się, czy go Andrzejowe „łanie” nie zawiodło. Czekanie to będzie zaś tem krótsze, że i rok przyszły jest o jeden dzień krótszy, ponadto obowiązują u nas czas letni (abyśmy nie czuli braku węgla...), wobec czego prowadzimy życie przyspieszone o godzinę, co również musi wpłynąć na skrócenie czasu oczekiwania.

Jak należy wnosić z telegramów naszych pism politycznych, na Andrzeja ułala się przeważnie każdemu figa, co świadczy, że rok następny nie będzie się bynajmniej różnił od bieżącego, czyli, że kto klepał biedę dotąd, może być na to przygotowany i w dalszym ciągu.

Nie brak nadto i przepowiedni, na razie jeszcze nie stwierdzonych, o zbliżającym się końcu świata. A asumpt do tego data... Liga Narodów, na oko chyba nie wspólnego z końcem świata nie mająca. A jednak ma!... Na początku świata był, wedle zapowiedzenia naczynych świadków, chaos, potem przystąpiono do budowy wieży Babel. Coś podobnego tylko w odmiennym porządku, ma uświetnić koniec świata. Wieżę Babel miniaturową już mamy w postaci Ligi Narodów, a chaosu, dzięki jej zarządzaniu, co pewnością nie braknie. A Ligę Narodów nazwał wieżę Babel nikt inny, tylko kardynał Gaspari, zatem osoba urzędowa, mająca najbliższą styczność z końcem świata. Niechaj to przecież nie zniechęca pragnących zakupić „milionówkę” i spróbować szczęścia, lub zamierzających założyć własne gniazdko rodzinne. Tak prędko to nie nastąpi, świat ma zapewniony opał i oświetlenie jeszcze na jakieś lat kilkadziesiąt, a nie jest wykluczone, że tymczasem wynajdzie ktoś sztuczne słońce i możliwość obchodzenia się bez ciepła, do czego nas powoli przyzwyczajają Inspektorat węglowy. Przeciw bliskiemu końcowi świata przemawiają nadto postanowienia traktatu wersalskiego, który, wedle powyższych uchwał mocarstw Kwalicy, „musi być” w całości wykonany, aż do ostatniego punktu, a na to trzeba lat szeregu i dobrej woli Niemców, a tej dotąd nawet jeszcze śladów nie widać. Według zapisków współczesnych, od początku świata do rozpoczęcia budowy wieży Babel upłynęło tysiące lat (ludzie wtedy żyli daleko dłużej — taki Matuzalem powiększył grono aniołków, przeżywszy z górą siedemset włosen żywota), nie ulega zatem kwestyi, że i od powołania do życia Ligi Narodów, do prawdziwego, po kilkakrotnym odkładaniu terminu, końca świata, nie ma jeszcze wody upłynię w Radawie.

Bądźmy zatem dobrej myśli i zastanawiamy się raczej nad tem, jak się godnie przygotować do Świata, od którego dzieli nas już zaledwie tylko dwa tygodnie, które powinny być w całości poświęcone zabiegom gospodarskim. W tym celu urzędnicy powinni otrzymać w tym czasie przymusowy urlop, z obowiązkiem oddania się pod rozkazy pani domu, ale też zarazem trzykrotną gałę miesięczną, aby sobie mogli oświadczyć choćby sacharyną ten codzienny żywot.

Zakończeniem kronikarza było tydzień bieżący poświęcić Mikołajowi, następny przygotowaniem świątecznym, ostatnią zaś kroniką zamknąć rok bieżący, życzyć mu wiecznego speczynku, a następnie przestrzedz, aby w jego śladzie nie występował.

Trzymając się tego programu, należałoby zatem pochwalić się, co się dostało od św. Mikołaja. Niestety, i w tym roku o nas, przynajmniej niektórych, zupełnie zapominał. W poniedziałek, dnia 6 grudnia, skoro świt (około dziesiętej...), sięgnął kronikarz pod poduszkę, zaglądnął pod łóżko, lecz nie znalazł tam nic więcej, prócz przedmiotów stale tam co noc mających pomieszczenie, jak chustka do nosa, pantofle i t. d.

Ze w wojennym czasie św. Mikołaj stronił od nas, to łatwo się zrozumie, jeżeli się zważy, że na przybycie do Krakowa trzeba było mieć specjalne pozwolenie Komendy twierdzy, a ich wyrabianiem zajmowali się przeważnie żydzi. Trudno zaś wymagać, aby Święty miał mieć z synami Izraela jakieś konszachty. A bez tej ich „protekcji” (za którą trzeba było zapłacić...) można było i dwa tygodnie stać w ogonku na ul. Po-

selekiej, zanim się dostał do szczęścia znalezienia się w drugim ogonku, ale już w sieni i na schodach biu-  
dynku Komisaryata fortecznego.

Z temi trudnościami dziś się liczyć nie potrzeba, można się zatem było spodziewać, że w roku 1920, możemy z całą stanowczością liczyć na odwiedzin i prezenty. Jeden ze znajomych kronikarza zostawił nawet z tego powodu na noc drzwi otwarte. Jakże się jednak zawiodł!... Św. Mikołaj go nie odwiedził, okradł go natomiast, korzystając z tego ułatwienia dostępu, jakiś rzeźmieszek, który, nie mogąc się doczekać na prezenty w łóżku, wybrał się w poszukiwanie za nim.

Znalazły się przecież inne przeszkody, również bardzo poważne, jak o tem objaśnił kronikarza pewien bogobojny starzec, znający się nie tylko na teologii, ale i na polityce.

— Niech się pan nie dziwi — tak mówił — święty Mikołaj mógł przybyć wprawdzie w tym roku, ale chyba z próżnymi rękami, a to nie miałoby celu. Osoba św. Mikołaja tak ściśle jest połączona z podarkami, jakie od niego otrzymujemy, że poprostu bez nich nie potrafilibyśmy sobie go nawet wyobrazić...

— Cóż zatem było przyczyną?

— W pierwszym rzędzie czas. Wigilia św. Mikołaja wypadła tego roku na niedzielę, a chyba pan wie, że na podstawie uchwały Sejmowej nie śmie się nikt wtedy zajmować żadną pracą, aby nie gwałcić spoczynku niedzielnego. Poza tem i praca nosna, a urzędowanie św. Mikołaja właśnie na tę porę przypada, nie jest mile w Warszawie widziana. Rząd obecny dość nieufale spogląda na przedstawicieli sfery klerikalnych, podejrzując je, iż mu kopią grób. Oddarowywanie ludzi mogło zatem bardzo łatwo być uważane za kaptowanie sobie ich, przeciw Rządowi, a podobnego podejrzenia nie chciał na siebie ścignąć św. Mikołaj, wogóle w politykę się nie bawiący. Nie brakło zresztą i innych przeszkód i trudności!...

— Naprzykład?...

— Naprzykład... zaopatrzenie się w podarki. Tu na miejscu zakupić ich nie mógł, gdyż nie wystarczyły mu fundusze na to przeznaczone. Ceny są straszne, a chyba trudno jednym coś dać, drogich zaś pominąć...

— Mógł zatem podarki przywieźć ze sobą św. Mikołaj z nieba!...

— Prawdę, że mógł, ale się przekonał, że się nie opłaci skórka za wyprawę i cło więcej wyniesie, niż wartość przedmiotów. Poza tem trzeba mieć pozwolenie na przywóz, a Warszawa zbyt się nie spieszy z wydawaniem tychże. Święty Mikołaj stał o nas pamięta, oblecał też, że, niech tylko usunięte będą obecne trudności, odwiedzi nas, może już w roku najbliższym i powetuje straty. Na razie trzeba się uzbroić w cierpliwość i czekać... A każdemu przyjdzie to tem łatwiej, iż na to nie potrzeba specjalnego pozwolenia na „noszenie broni”...

Pogodził się zatem kronikarz z losem i, dzięki wyjaśnieniu bogobojnego starca, nie ma pretensyi do św. Mikołaja, zwłaszcza, skoro obiecuje nam powetować straty, jakie ponieśliśmy... Kto wie, czy w roku przyszłym nie obdaruje nas tak szczerze, jak Rząd naszych panów kamieniczników, dając im na otarcie łez krokodylich, tak zwane „dodatkowe świadczenia”. Czekaj też cierpliwie, bo i cóż mu innego pozostaje do zrobienia?... Rok nie taki znów długi, zwłaszcza, że nie brak różnorodnych urozmaiceń.

Takiem było naprzykład zwalenie się wierzchołka Mont Blanc, o czem donosił „Karyer”. Alpejcy taternicy byli w kłopotcie, bo i jakie się tu teraz wybierać na tę górę, gdy ona niema szczytu, a jego osłabienie stanowi cel pragnień każdego z „górolazów”. Wierchołek ten nie spadł jednak na dół, co było dowodem, że albo się nie urwał, albo gdzieś w drodze zatrzymał. Wysłano na miejsce specjalną komisję, która stwierdziła, że szczyt stoi, tak jak był i nie mu nie brakuje, wobec czego ruch turystyczny w Alpy nie powinien nie na tem uciepnieć. Marki nasze stoją wprawdzie nisko, jeżeli jednak, mając je w kieszeni, wybierz się ktoś na szczyt Mont Blanc, *eo ipso* i wyjdzie „w górę”, jak to tylekroć zapowiadał p. minister Grabski, choć sam w to nie wierzył.

Dziś p. Grabski *procul negotiis* może się oddawać rozpamiętywaniu swej dotychczasowej działalności, mamy bowiem już jego następcę w osobie Dra Steczkowskiego, w samej rzeczy fachowca w dziedzinie skarbowości. Dzięki tej nominacji zaczynamy nabierać lepszego wyobrażenia o obecnym Rządzie i jego poprzednikach, wyszukujących z taką prodyleką same miernoty, jak gdyby ministrowie wstydzi się, że mają między sobą człowieka naprawdę znającego się na exens. Dr Biliński nie utrzymał się długo, może szczęśliwszym będzie od niego Dr Steczkowski, który jednak jakoś nie bardzo dowierza, aby się jego misja powiodła, dzięki panującemu w Warszawie stosunkom, skoro sobie zastrzegł powrót na dotychczas zajmowane

stanowisko. Zastrzegł się wprawdzie bardzo szczegółowo, a Rząd te warunki przyjął, nikt jednak nie przewidział, czy je wypełni. Dr Biliński też postawił warunki, przyjęto je, ale i na tem się skończyło. A warunki Dra Steczkowskiego są bardzo do tamtych podobne, mają na celu radykalną sanację naszych finansów i to w każdym kierunku.

Czy nam się Dr Steczkowski „uła” na Andrzeja, czy mamy go uważać za podarunek od św. Mikołaja, w każdym razie stwierdzić się musi, że to nabytek bardzo cenny, należy go też strzedz, jak oka w głowie.

Pierwotnie zanosilo się na dymisję całego gabinetu, co z pewnością nie byłoby w kraju wywołało zbyt wielkiego żalu i nie skłoniłoby nikogo do bezrobocia na znak protestu, jak to było swojego czasu z racyi ustąpienia ministra kolei, Dra Bartla. W szczególności połączalibyśmy się bardzo chętnie z panem ministrem aprowizacyi, dzięki któremu żołądki nasze kurczą się coraz bardziej, a niema nawet nadziei, aby sytuacja w tym kierunku miała się rychło poprawić.

Gdy Kraków był pod względem aprowizacyi zależny od Rady aprowizacyjnej dla Małopolski, było źle, ale pocieszano nas, że się to poprawi, gdy się dostaniemy wprost pod skrzydła opiekuńcze ministerstwa. I cieszyliśmy się nadzieją, zwłaszcza, że dyktatorem żywnościowym został mianowany dyrektor Krupiński, znający dobrze nasze stosunki. Ale skończyło się na nadziei, gdyż i dyktator nie pomoże, jeżeli pan minister nie nie da. Były, co prawda, ale tylko same krupy, bo magistrat karmi nas dłuższy czas samym psąkiem, teraz dopiero zamieniając go na fasolę.

Aby się stosunki w tym dziale radykalnie poprawiły, należałoby się postarać, aby w skład Komisaryatu żywnościowego dla Krakowa weszli pp.: Chlebowski, Mieszka, Masłowski, Smalec, Stonina, Mięso-wicz, Młeczko, Maślankiewicz, Serkowski, Kapusta, Grochowski, Baraszyński, Zemiakiewicz — sprawy opałowe należy oddać pp.: Węglańskiemu i Drewnowskiemu, wodne Wodzieńskiemu, Wiślankiemu, tytoniowe Tabaczyskiemu, odzieżowe Kubrakiewiczowi, Czapnickiemu i Basiewiczowi i t. d., a ludność może raz już ostatecznie, o ile nie przyzwyczai się tymczasem do obchodzenia się bez wszystkiego, co dotąd, według starych przesądów, było uważane za niezbędne do utrzymania życia.

Na razie, celem „poprawy sytuacji”, otrzymujemy dwa dni urzędowego postu od mięsa, w poniedziałek i piątek (potem przyjdzie kolej na środy i soboty i tak dalej, aż do zupełnego skasowania jedzenia...).

Wracając więc dawne austriackie praktyki oszczędnościowe i „naprawianie sytuacji” kosztem naszych żoładków. Ciekawe tylko, jaka obecnie pokutę wyznaczają spowiednik gwałcielełowi postu urzędowego. Za ś. p. austriackich czasów karał mu odmówić trzy razy *Boże wspieraj...*, obecnie, ze względu na to, że Polska ma być chłopską, a zbliża się okres kolend, każę mu odśpiewać za pokutę: *Przybieżeli do Warszawy pasterze...*, albo *Cztery lata wołkim pasat w tej tu dolinie...* Uporny grzesznik-recydywista, będzie musiał po rozgrzeszeniu jechać do Warszawy i tam czekać na nie całymi miesiącami, a w świadectwach moralności przybędzie nowa rubryka: „pościł przykładnie”.

Ze rok 1920 będzie bardzo kiepski, o tem wiedzieliśmy z góry, gdyż zapowiedział to już swojego czasu amerykański dyktator żywnościowy, Hoover, że jednak będzie tak „pod psem”, o tem nikt nawet nie przypuszczał. Ludziliśmy się zresztą nadzieją, że Hoover to nie papież, więc się może mylił. Niestety, pokazało się, że się bynajmniej nie pomylił.

I aż serce boli, a żoładek się kurczy na samą myśl, jak wobec tych warunków wyglądać będą święta Bożego Narodzenia... Ale o tem lepiej nawet nie myśleć, aby sobie krwi nie psuć, zresztą tym sprawom ma być poświęcona następna kronika. Potemkowie nasi, czytając ją, będą płakać ze wzruszenia, dowiedziawszy się, ile musieliśmy cierpieć.

Wszystko się na nas sprysnęło, nawet „milionówka”. Zawadziła już o Warszawę i to aż dwa razy, o Poznań, Lwów, nawet i Czystochowę — Kraków stale omija!... A gdy na nas przyjdzie kolej i w poniedziałek wyczytamy, że wygrana padła na numer, wysłany do Krakowa, poniedziałek przyniesie rozczarowanie, gdyż pokaże się w rezultacie, iż numer ten... nie został sprzedany. Jeżeli kogo los prześladowa, to już dokumentnie!

I, wobec tych wszystkich przeciwności, na jakie napotykamy na każdym kroku, ani daleko się nie można, że „cywilny” Kraków zapomni prawie zupełnie o dziesięćdziesiątej rocznicy powstania listopadowego. Podobno odłożono obchód na rocznicę stulecia, jaka przypadnie za lat dziesięć i powołano już nawet do życia komitet, mający się zająć obmyśleniem programu. Rocznicę tę świętują obecnie tylko wojskowość, gdyż nasi oficerowie miasta mają głowy czem innem zajęte, wychodzą przytem z założenia, że „zadano dwa gryby w baraszk”.